468. 1278

IOTECZKA IMIENIA BOLESŁAWA PRUSA.

PRZYGODY MYŚLIWCA

WŚRÓD LODÓW PÓŁNOCY I LASÓW POŁUDNIA.

KSIĘGOZBIÓR MYŚLIWSKI Józefa Wł. Kosztyrakiego

PODŁUG

FR. HOFMANA

OPRACOWAŁ

M. BRZEZIŃSKI.

Biblioteka Główna

WYDANIE 4-te.

WARSZAWA

ad główny w „Księgarni Ludowej“, Julji Sikorskiej.

Warecka 14.

Przygody myśliwca

WŚRÓD LODÓW PÓŁNOCY I LASÓW POŁUDNIA.

PODŁUG

Fr. Hofmana

opracował

M. Brzeziński.

Polski Związek Łowiecki
BIBLIOTEKA
Nr. 468

Brak strony 31-32

WYDANIE 4-te.

Polski Związek Łowiecki
BIBLIOTEKA
KSIĘGOZBIÓR MYŚLIWSKI
Nr.

WARSZAWA
Skład główny w „Księgarni Ludowej", Warecka 14.
1917

POLSKI ZWIĄZEK ŁOWIECKI
BIBLIOTEKA
Nr. 2021

Polski Związek Łowiecki
BIBLIOTEKA
Nr. ~~322~~ 2021.

Dział Prasy

Geprüft und freigegeben durch die Kais. Deut. Presseabteilung.
Warschau, den 17/IV 1917. T. № 5208. Dr. № 495.

TŁOCZNIA WŁ. ŁAZARSKIEGO, MARSZAŁKOWSKA 114.

Połów wieloryba.[1]

Było to w roku tysiąc osiemset pięćdziesiątym trzecim, gdy — jako młody, dwudziesto pięcioletni podróżnik — wsiadłem na okręt kapitana [2] Barensa, jadący na połów wielorybów. Celem naszej wyprawy miały być okolice Szpicbergen. Jest to gromada bezludnych wysp [3], leżąca daleko na północ Europy, pośrodku Morza Lodowatego.

Wybraliśmy się we dwuch: ja i przyjaciel mój — Stefan, zwykły towarzysz moich myśliwskich wycieczek. Zaopatrzywszy się w dobre strzelby i ciepłą odzież, zabrawszy ze sobą dwa dzielne psy — Dogonia i Zagraja, — wsiedliśmy wesoło na okręt. Mijając setki małych wysepek i skaliste wybrzeża Norwegji [4], płynęliśmy już

---

[1]) Wieloryb — największy ze wszystkich zwierząt. Żyje w morzach zimnych. Z postaci podobny do ryby, długiej na 40 łokci, a na 10 łokci grubej. Nie jest jednak rybą, lecz zwierzęciem ssącym, tak samo jak pies, kot, koń i tym podobne. Polują na niego głównie dla tłuszczu zwanego tranem.

[2]) Kapitanem nazywa się tutaj dowódca okrętu.

[3]) Wyspa — kępa ziemi, oblana zewsząd wodą. Bywają wyspy, mające po kilka i kilkadziesiąt mil wzdłuż i wszerz.

[4]) Norwegja — kraj leżący razem ze Szwecją wprost ku północy od nas.

od paru tygodni, i przyznać się muszę, że ta długa jednostajna podróż okropnie mi dokuczyła.

Bo i co może być za przyjemność siedzieć przez tyle czasu zamkniętym w kajucie [1]) okrętowej, nie mieć żadnej rozrywki, prócz przechadzki po pokładzie; nie widzieć nic, prócz pochmurnego nieba i wiecznie burzliwego morza?

Dopiero trzynastego dnia zaczął nam dawać się we znaki silny mróz i tu i ówdzie ukazały się olbrzymie kry, jakby góry lodowe. Dowodziło to, że wjechaliśmy nareszcie w te zimne okolice morza Lodowatego, gdzie można spotkać dawno oczekiwane przez nas wieloryby. Na okręcie wszyscy odżyli. Zaczęto przygotowywać liny i haki do połowu wieloryba; opatrywano czółna; całemi dniami kapitan stał na pokładzie z lunetą [2]) w ręku, rozglądając dokoła nieprzejrzane przestwory wód. Kilka dni minęło na daremnych oczekiwaniach. Tymczasem kry lodowe stawały się coraz częstszemi, coraz większemi, z trudnością mogliśmy przemykać się pomiędzy temi potwornemi górami lodu, z których każda mogłaby zmiażdżyć nasz okręt. Nakoniec ujrzeliśmy w oddali śnieżne równiny i poszarpane skały Szpicbergen.

— No, teraz dopiero się zacznie! — zawołał kapitan Barens.

Niedługo czekaliśmy na sprawdzenie się słów doświadczonego żeglarza [3]): na drugi dzień z wierzchołka

---

[1]) Każdy okręt zwierzchu ma płaskie nakrycie; zwane pokładem, a w głębi—większe i mniejsze izby, czyli kajuty.

[2]) Luneta — rura ze szkłami wypukłemi, jak w okularach. Przez taką rurę czyli lunetę można dobrze rozpoznać przedmioty bardzo odległe: o milę i więcej nawet.

[3]) Żeglarz — człowiek, którego stałym zajęciem jest pływanie na okręcie po morzu. Wszyscy żeglarze służący na jednym okręcie stanowią załogę tego okrętu. Dowódca tej załogi ma nazwę kapitana; do pomocy ma on paru oficerów; resztę służby okrętowej stanowią majtkowie. Żeglarz, umiejący kierować okrętem, zowie się sternikiem.



Z trudnością przemykaliśmy się pomiędzy temi potwornemi górami lodu.

masztu dał się słyszeć okrzyk pilnującego majtka: „Wieloryb! wieloryb!“

W jednej chwili zapomnieliśmy o przebytych nudach. Pochmurne twarze majtków ożywiły się; kapitan z rękami w kieszeniach przechadzał się po pokładzie okrętu, a my dwaj — to jest ja i Stefan — zaczęliśmy czymprędzej oglądać i nabijać nasze strzelby.

— I na cóż to? — zapytał kapitan.

— Tak sobie, na wszelki wypadek! Miałbym wielką ochotę poczęstować wieloryba kulą.

Kapitan roześmiał się.

— Moi panowie! do polowania na wieloryby niemasz, jak harpun! — rzekł, wskazując na długą dzidę, którą właśnie oglądał jeden z majtków.

Harpunów takich mieliśmy na okręcie kilkanaście. Były to żelazne drągi, zakończone dwoma hakami, zwróconemi ku tyłowi. Były więc one nieco podobne do tych ości drewnianych, jakiemi u nas na jeziorach bije się z łodzi duże ryby. Ciekaw byłem, jak też takim harpunem zabijać będą ogromnego wieloryba!

Widząc nasz zapał myśliwski, kilku majtków otoczyło nas wokoło: oglądali strzelby i — uśmiechając się, — życzyli powodzenia... Już to mieliśmy łaski u załogi okrętowej. Zawdzięczaliśmy je głównie — jak mi się zdaje — naszemu zapasowi wódki i araku, których już niejedną butelkę wypili ci nasi towarzysze, nie lubiący — jak wiadomo — wylewać za kołnierz...

Statek płynął prosto na wieloryba. Kiedyśmy podjechali do niego na jakie ćwierć wiorsty, spuszczono cztery łodzie, w których umieściło się dwudziestu majtków. Na jedną z łódek wsiedliśmy obaj ze Stefanem. Kapitan niebardzo był rad z naszego wtrącania się do połowu, bał się bowiem, żeby nam się co złego nie stało. Ale my ani myśleliśmy słuchać jego przestróg,

tymbardziej, że sternik nasz i główny wielorybnik [1] — Marcin—obiecał się nami opiekować.

A trzeba wiedzieć, że Marcin był to prawdziwy wilk morski [2] i znał się doskonale na połowie wielorybów.

— Uważajcie, panowie, — rzekł on, — gdyśmy oddalili się nieco od statku i innych łodzi, i chytrze mrugnął jednym okiem... — Daję wam na to słowo uczciwego żeglarza, że my najpierwsi znajdziemy się koło wieloryba i pierwsi wsuniemy mu w brzuch ten harpun!

To mówiąc, potrząsał z dumą swoją długą dzidą, która na tępym końcu przywiązana była do liny. Lina zaś okręcona była na kołowrotku, umieszczonym w poprzek na przodzie łodzi.

— Siadajcie, panowie, tuż za mną i kpijcie sobie z tego, jeśli która łódź nas wyprzedzi... One właśnie napędzą na nas wieloryba!

Usiadłem za nim, śledząc bacznie ruch posuwających się łódek.

Podpływały one wielkiemi łukami ku wielorybowi, który, nie podejrzewając niebezpieczeństwa, spokojnie igrał na powierzchni wody. Był to ogromny zwierz, długi chyba na 40 łokci. Coraz otwierał i zamykał swą paszczę wielką, tak, że śmiało mogłaby pomieścić nas z całą łódką... Z dwóch nozdrzy, umieszczonych na wierzchu jego ogromnej głowy, wydobywały się przy każdym oddechu kłęby pary; zdala wyglądały one jakby wysokie wytryski wody. Zdawało się, że wieloryb nie dostrzega podpływających łódek, chociaż zbliżyły się one o kilkaset kroków do niego.

---

[1] Wielorybnik—człowiek, umiejący polować na wieloryby.

[2] Wilk morski—przezwisko starych, doświadczonych żeglarzy.

— Baczność! — wyszeptał Marcin — za dziesięć minut najdalej będziemy go tutaj mieli; a jeżeli wszystko pójdzie, jak należy, za godzinę będzie już po polowaniu.

Zwierz widocznie spostrzegł nadpływające od tyłu łódki. Zatrzymał się na chwilę i znikł pod wodą i już zdawało mi się, że umknie nam nurkiem, gdy za minutę ukazał się znowu. Płynął prosto na naszą łódkę... Marcin chwycił za harpun.

— A co? nie mówiłem? — rzekł, zwracając się do majtków. — Teraz baczność, chłopcy! Wieloryb widać już szczwany i trzeba zachować się ostrożnie, żeby nam nie uciekł, lub nie poczęstował naszej łódki ogonem. Ty, Piotrze, pilnuj liny, żeby się nie zaplątała przy odkręcaniu. Jan niech ma w pogotowiu wodę do zalewania liny [1]). Dalej, chłopcy! za wiosła, ostro! A wy, panowie — rzekł do nas — schowajcie wasze rury i ani się ważcie strzelać, zanim ja uderzę go harpunem; jeśli nie posłuchacie, to dalibóg — wyrzucę do wody! Jak już zahaczę wieloryba, możecie sobie wtedy pukać do niego.

Trudno było nie posłuchać takiej przestrogi, tym bardziej, że stary wyga morski napewno byłby nas kazał wrzucić do wody, gdyby z naszej winy wieloryb umknął.

— Ostro, naprzód! — wołał półgłosem Marcin, — płynąć prosto, nie zatrzymując się. Baczność!!

Stał teraz na przodzie łódki, wygięty w tył, lewą rękę wyciągnął naprzód, prawą podniósł w górę, ści-

---

[1]) Lina przy harpunie potrzebna jest do tego, żeby wieloryb, po uderzeniu dzidą, nie oddalił się zanadto od łódki. Żeby jednak nie mógł pociągnąć łódki w wodę, koniec liny, mieszczący się na łodzi, jest owinięty na kołowrotku i odkręca się szybko przy odpływaniu wieloryba. Szybkość odkręcania się liny jest tak wielka, że przez tarcie zagrzewa się ona i zapaliłaby się, gdyby jej nie polewano wodą.

skając ostry harpun. Zaiskrzonemi oczyma śledził on ruchy wieloryba, wyczekując chwili, kiedy będzie mógł puścić swój groźny oręż. Nagle harpun, wyrzucony wprawną ręką starego, zaświszczał w powietrzu i uderzył ostrzem głęboko w olbrzymie ciało wieloryba... W tej chwili łódka cofnęła się w tył, rozległ się straszny plusk, podobny do grzmotu, otoczyła nas chmura pyłu wodnego—i, kiedy ze strzelbą przygotowaną zacząłem szukać wieloryba, nie było go już na powierzchni wody.

Z zadziwieniem spojrzałem na Marcina, lecz widok jego uspokoił mnie zupełnie. Ogorzała twarz starego wielorybnika jaśniała zachwytem, potężnym głosem wydawał rozkazy:

— Puszczać linę! Lać wodę, bo zagrzeje się! Do wioseł! Płynąć ze wszystkich sił!

Jan polewał linę, odkręcającą się gwałtownie z kołowrotka; a łódź, ciągniona przez wieloryba, w którego ciele tkwił uwiązany do liny harpun, posuwała się z szybkością błyskawicy.

— Hurra! otóż jest! — krzyczał Marcin, widząc wynurzające się przed nami z pod wody po kilku minutach czarne cielsko ranionego olbrzyma. — Wiedziałem, żem nie spudłował!

Wieloryb chrapał i jęczał, wyrzucając przez nozdrza smugi wody, zmieszanej z krwią. Ogonem tak silnie uderzał po morzu, że każde uderzenie rozlegało się, jak wystrzał armatni. Strach przejmował, gdy się patrzyło na te szalone ruchy! Po chwili zanurzył się znowu pod wodę...

— Tylko rozważnie, chłopcy! — wołał Marcin, widząc, jak zaniepokojeni majtkowie rzucili się znowu do wioseł. — Już on nasz; niezadługo będzie po nim. Żywo odkręcać linę! a polewać wciąż, bo się zapali. Płynąć na prawo! Teraz prosto! Ot, znowu jest!...

O sto kroków od nas wieloryb wysunął się znowu z wody dla zaczerpnięcia powietrza.

— Bliżej, chłopcy, bliżej! Dzidy do rąk!! Dwa, trzy uderzenia — i będzie koniec. A wy, myśliwi, — rzekł do nas ze złośliwym uśmiechem — możecie sobie teraz strzelać do niego, ile wam się podoba...

Wieloryb leżał dość spokojnie, tylko niekiedy gwałtownym drganiem swego cielska bałwanił dokoła wodę.

— Śmiało naprzód! — krzyczał wciąż Marcin. — Podjechać pod bok, tylko bliżej głowy. Niechby chlapnął naszą łódkę ogonem, to nie byłoby co zbierać z nas i z naszej łodzi! Baczność! Kłuć dzidami!

Łódki zbliżyły się o tyle do umierającego olbrzyma, że łatwo było dostać go długiemi dzidami. Leżał on spokojnie, nieco na boku, a wielka głowa jego z małemi oczami akurat znalazła się wprost mojej strzelby. Bezwiednie prawie zmierzyłem w samo oko i wypaliłem... W tej chwili rozległ się huk od uderzenia ogonem wieloryba o wodę, morze zabałwaniło się, łódź przechyliła się gwałtownie — a ja o mało nie wpadłem do wody.

— Do stu piorunów! co pan wyrabiasz? —krzyczał Marcin. — Byłbyś pan nas wyprawił na dno do morza na obiad rekinom...[1]) Gdzież wieloryb?

Wieloryb zniknął... Przeraziłem się sam, myśląc, żem go spłoszył na zawsze, że zerwał się może z harpunem i uciekł, — gdy wtym ukazał się na powierzchni, wywrócony do góry białym brzuchem...

— Jest, jest! — krzyknąłem i o mało nie wyskoczyłem z łódki, zapomniawszy, że to nie zając, do którego można biec po strzale.

---

[1]) Rekin—ryba morska, na 10 łokci długa, z szeroką paszczą i dużemi zębami. Jest postrachem wszystkich zwierząt morskich; pożera też nieraz ludzi, pływających lub wpadłych w morze. Ztąd nazywa się inaczej: Żarłacz ludojad.

— Wielka sztuka! — mruczał na pół gniewnie stary. — Raz trafi, a sto razy nie! Na wieloryby, mój panie, poluje się z harpunem i dzidą, a nie ze strzelbą. To nie zając ani kuropatwa! Ale strzał był tęgi. Gdzie pan mierzył?

— W oko, w samo oko!

— Ba! to nic dziwnego, że został na miejscu. No, ale do roboty, chłopaki. Trzeba go porządnie zahaczyć i marsz do okrętu... Ależ to kapitan się ucieszy. Patrz pan: z tej poczwary samego tranu będzie ze sto dwadzieścia beczek.

Ciągnąc za sobą wieloryba, zbliżaliśmy się powoli ku statkowi, który zatrzymał się, zarzuciwszy kotwicę [1]) niedaleko brzegu. Wyciągnęliśmy wieloryba na mieliznę, i zaraz zaczęło się płatanie zdobyczy.

Trzeba było pośpieszać z robotą, gdyż, — jak mówił kapitan — na drugi dzień ciało wieloryba już zaczęłoby się psuć i smród byłby nie do wytrzymania.

Z największą ciekawością przyglądałem się teraz zabitemu olbrzymowi. Rzeczywiście miał on do czterdziestu łokci długości. Głowę miał ogromną, ale oczy nie większe jak u wołu, a uszy małe, niewidoczne i klapami zamknięte. Cały skład ciała miał on dziwnie podobny do ryby, chociaż jest to zwierzę ssące; wydaje na świat dziecko żywe i karmi je mlekiem, tak samo jak pies, albo kot. Na przodzie ciała z boku miał dwie nogi płetwiaste, na cztery łokcie długie; z tyłu nie miał nóg żadnych, a tylko ogon — jak u ryby, ale szeroki na jakie dziesięć łokci. W paszczy zwieszały mu się z górnej szczęki zamiast zębów dwa szeregi długich blach

---

[1]) Kotwica — wielki i ciężki hak żelazny o czterech zębach. Jest on przymocowany na linie do okrętu i zarzuca się na dno morza, gdy trzeba zatrzymać okręt na miejscu.

fiszbinowych. Każdy fiszbin jest to rogowa blacha, giętka jak sprężyna; jest ona długą do pięciu łokci. Blachy te, zestawione jedna przy drugiej, tworzą jakby sito na brzegu paszczy wieloryba; przez to sito woda z paszczy wypływa, ale pochwycone z nią razem zwierzątka zostają w paszczy i służą za pokarm wielorybowi. Dziwna rzecz, iż pomimo ogromnej wielkości, zwierz ten ma gardziel tak mały, że ledwo śledzia mógłby odrazu połknąć. Gruba, naga skóra wieloryba lśniła się na słońcu od przenikającego ją tłuszczu. Na skórze przyczepionych było tysiące muszli i innych zwierzątek morskich, które tam obrały sobie mieszkanie.

Nie było czasu dłużej przypatrywać się temu olbrzymowi, bo już majtkowie zabrali się do krajania. Najpierw na wysokim maszcie założono mocny krążek, przez który przeciągnięto linę. Lina na jednym końcu miała duży hak, na drugim zaś przymocowana była do korby. Była to więc winda. Spuściwszy koniec liny z hakiem za brzeg okrętu, zaczepiono hakiem za głowę wieloryba, a tak uniesiono go w górę. Teraz zaczęto oddzielanie głowy. Długiemi nożami krajano póty, póki ogromnego łba nie odcięto. Poczym łeb został wciągnięty na pokład; tam zabrano się zaraz do krajania go, wycięcia fiszbinów i języka. Ależ co to był za język! Długi był na osiem łokci, ważył około 800 funtów, a cały był przesiąknięty tłuszczem. Same fiszbiny ważyły, — jak się okazało potym, — trzy tysiące funtów!

Po odcięciu głowy, zaraz zaczęli majtkowie krajać słoninę. Odcinano nożami dokoła cielska kawały słoniny szerokie na 2 łokcie, a grube prawie na łokieć. Kawały te wciągano windą na okręt. Tam krajano je na mniejsze kawałki i wrzucano do ogromnego kotła dla wygotowania tłuszczu. Ten tłuszcz żółtawy podobny jest w smaku do tłuszczu rozmaitych ryb i nazywa

się tranem. Tranu oczyszczonego używają ludzie jako lekarstwo dla słabych dzieci i dla dorosłych, chorych na piersi. Prócz tego robią z niego różne smarowidła do maszyn, do skór i tym podobnych rzeczy.

Na okręcie panował ruch i praca. Kapitan wydawał na wszystkie strony rozkazy; Marcin dowodził krającemi słoninę; na pokładzie główny kucharz pilnował wytapiania tranu w kotle, pod którym początkowo rozpalono ogień węglami, a potym palono tylko różne odpadki z wieloryba, przesiąknięte tranem. Wytopiony tran majtkowie natychmiast zlewali do przygotowanych beczek, które windami spuszczano na spód okrętu.

— Wiesz pan — mówi do mnie kapitan — ile mógł ważyć dzisiejszy wieloryb? Najmniej 4 tysiące pudów, to jest 160 tysięcy funtów! Jestto waga, równająca się wadze 300 utuczonych wołów! Samej słoniny będzie z niego do 80 tysięcy funtów, z czego dostaniemy ze 60 tysięcy funtów czyli 120 beczek tranu, policzywszy razem tran i fiszbiny, będziemy mieli za naszego wieloryba ze 6 tysięcy rubli! Co, piękna zdobycz? Jeszcze kilka takich sztuk, to zarobimy w ciągu jednej wyprawy z 50 tysięcy. — Ręce zacierał z radości, pykając dym z krótkiej fajeczki.

Reszta dnia zeszła na robocie. Pod wieczór, który nastąpił tutaj o godzinie 3-ej popołudniu, znaczna część wieloryba była już ogołocona ze słoniny, sterczące ciemno-czerwonym cuchnącym mięsem. Smród od wytapianego tranu zwabił zewsząd roje wszelkiego ptactwa morskiego, które wpadało z natarczywością na pokład, porywając drobniesze kawałki wieloryba.

Ku nocy ruch się uspokoił. Znużeni majtkowie po całodziennej pracy ułożyli się do snu. Po krótkiej pogawędce z kapitanem i my poszliśmy za ich przykładem, wyprosiwszy sobie wprzód na jutro pozwolenie

zapolowania na Szpicbergen. Majtkowie opowiadali o białych niedźwiedziach, które często spotkać można na tych wyspach. Korciło nas, żeby na nie zapolować. Nie wiem, jak mój przyjaciel, ale ja przez całą noc śniłem o walce z tym dzikim mieszkańcem lodów.

Spotkanie z białym niedźwiedziem.

Zerwaliśmy się nazajutrz na równe nogi, zanim jeszcze wstała załoga. Była godzina 9-ta rano. Dzień był pogodny, mroźny. Polowanie zapowiadało się pięknie. Kapitan kazał dwom majtkom odwieźć nas czółnem na brzeg; zastrzegł tylko, żebyśmy przed zmierzchem byli z powrotem, bo jutro o świcie okręt wyruszy w dalszą podróż.

— A bądźcie panowie ostrożni!! z niedźwiedziami żartów niema. No, dobrego powodzenia, panowie myśliwi!

Już siedzieliśmy w łódce — Stefan, ja i nasze trzy psy, — gdy na okręcie ukazał się Marcin.

— A to dokąd? — zapytał.

— Na polowanie, na wyspę! — odpowiedzieliśmy wesoło.

— Na polowanie? Ależ panowie nie będziecie mieli na to czasu! Patrzcie na tę oto szarą chmurkę na północno-wschodniej stronie nieba. Ani się obejrzycie, jak zwali się z niej taki śnieg, że własnych rąk nie będziecie mogli dojrzeć.

Spojrzałem na niebo. Prawda, że w oddali szarzała mała chmurka; ale zresztą niebo było pogodne, słońce ślicznie oświecało powierzchnię morza i białe skały wyspy.

— Et, plecie stary! — pomyślałem w duszy i, pożegnawszy go po wojskowemu, kazałem coprędzej płynąć do brzegu. Łódź oddaliła się szybko. Nie słysze-

iśmy już dalszych uwag Marcina, który jeszcze coś gadał, gniewał się i ruchem rąk wzywał nas widocznie do powrotu. Nie upłynęło pół godziny, gdy łódka udeżyła o ląd i my wyskoczyliśmy na brzeg. Dogoń, Otusz i Zagraj, jak oszalałe, biegały i skakały dokoła nas. A i my sami, poczuwszy pod sobą ziemię, byliśmy niezmiernie uszczęśliwieni. Majtkom kazaliśmy przyjechać po siebie przed zmierzchem, a sami odważnie puściliśmy się naprzód, wgłąb dzikiej, bezludnej wyspy, pokrytej grubym śniegiem.

Była godzina najdalej dziesiąta. Czasu mieliśmy przed sobą dosyć. Słońce odbijało się silnym blaskiem od śnieżnych wierzchołków skał. Żaden ślad nie wskazywał tutaj najmniejszego życia. Okolica wydawała się pustą, wymarłą. Stefan mruczał już, że napróżno wzięliśmy ze sobą strzelby. I ja, co prawda, myślałem toż samo; ale pocieszałem się tym, że choć na parę godzin udało mi się zejść z okrętu na ziemię.

Szliśmy żwawo naprzód. Psy skakały swobodnie dokoła, to wyprzedzając nas, to pozostawiając w tyle. Po godzinie drogi dotarliśmy do jakiegoś ciasnego wąwozu pomiędzy dwiema skałami, długiego najwyżej na dwieście kroków. Tam dalej za wąwozem ciągnęła się takaż sama śnieżna równina. Nie namyślając się więc, weszliśmy w wąwóz. Psy pozostały w tyle. Zaledwie jednak posunęliśmy się ze trzydzieści kroków, nagle z poza załomu skały ukazał się olbrzymi biały niedźwiedź [1]).

---

[1]) W lasach krajów północnych mieszka niedźwiedź bury, w morzu zaś północnym, na śnieżnych wybrzeżach i krach lodowych, przebywa niedźwiedź biały. Jest on również ogromny, jak bury, lecz cieńszy i zgrabniejszy, przytym doskonale pływa. Żywi się rybami, fokami i innemi zwierzętami morskiemi, na które bardzo zręcznie poluje. Dla ludzi jest nadzwyczaj groźny i straszny.

Zwierz, zarówno jak my, nie spodziewający się spotkania, nagle przystanął. My zaś tak przelękliśmy się, że przez parę chwil staliśmy w osłupieniu, zapomniawszy zupełnie o strzelbach. Spotkanie rzeczywiście było nagłym, a niedźwiedź — prawdziwy olbrzym, ze trzy łokcie długi... Oprzytomniawszy wreszcie, chwyciłem za strzelbę i, nie mierząc nawet z wielkiego zapędu, wystrzeliłem...

Zaledwie rozległ się huk, niedźwiedź zaryczał strasznie, a my rzuciliśmy się w tył, szukając ocalenia w ucieczce. Lecz jeszcze nie zdążyłem dobiec do początku wąwozu, gdym poczuł na swych plecach łapę niedźwiedzia i upadłem gwałtownie na ziemię.

Białe jego włosy dotykały mojej twarzy; krwawa paszcza otwarła się przed memi oczyma. Myślałem, że już po mnie... W tej strasznej chwili oczekiwania, krzyknąłem dzikim głosem, starając się jednocześnie wyciągnąć z za pasa nóż. Wtym nad samym uchem moim rozległ się wystrzał Stefana.

Widząc mnie w niebezpieczeństwie, przyjaciel mój zatrzymał się i strzelił. Niestety, chybił! Niedźwiedź z dzikim rykiem zwrócił się teraz ku Stefanowi i przewrócił go na ziemię; już miał roztrzaskać mu głowę strasznemi zębami, gdy nadbiegły nasze psy i z wściekłością rzuciły się na dzikiego zwierza. Zaczęła się nowa walka i szamotanie. Psy doskakiwały jak wściekłe, rwąc włosy i skórę niedźwiedzia, wpijały mu zęby w brzuch; a on z okropnym rykiem bronił się od napastników, starając się dosięgnać ich wielkiemi pazurami. W pierwszej chwili nie spostrzegłem, że Stefan leży martwy. Nie było czasu do stracenia. Już dzielny mój Dogoń, draśnięty łapą potwora, leżał z rozprutym brzuchem, już niedźwiedź chwytał Otusza za kark zębami, nie zważając na Zagraja, który, dopadłszy od ty-

łu; wpił mu się w grzbiet, jak pijawka. Nabiwszy czymprędzej strzelbę dwiema kulami, zmierzyłem w sam łeb poczwary i wypaliłem. Niedźwiedź wyskoczył w górę i zwalił się na ziemię, wydając ostatnie śmiertelne mruknięcie.

Nie zważając już na niego, rzuciłem się ku Stefanowi. Leżał o parę kroków od niedźwiedzia, bez czu-



Nabiwszy strzelbę, zmierzyłem w sam łeb niedźwiedzia...

cia, a krew broczyła mu z rany na lewym ramieniu. Przyłożyłem mu rękę do piersi; serce bije jeszcze, choć bardzo słabo.

— Żyje, żyje!! — wykrzyknąłem z największą radością.

Czymprędzej obmyłem mu twarz śniegiem, przewiązałem ranę chustką. W usta na wpół otwarte wlałem mu kilka kropli wódki... Po chwili otworzył oczy:

BIBLIOTEKA
Nr. 2021.

— Niedźwiedź, niedźwiedź! — były pierwsze jego słowa.

— Uspokój się, Stefku — mówiłem. — Nie mamy co już bać się niedźwiedzia. Patrz, leży martwy. Ale jakże się czujesz? Czyś mocno zraniony?

— Nie wiem... zdaje się, że śmiertelnie... — Uniósł głowę i próbował podnieść się nieco, podtrzymywany przeze mnie. — Oj boli! głowa strasznie boli i ręki lewej nie czuję... Ależ to siła w tej bestji.

Wlałem mu jeszcze do ust wódki. Widocznie to go pokrzepiło; po kilku minutach mógł już usiąść i zapytywał, co się stało. Opowiedziałem, co i jak było. Stefanowi siły widocznie wracały. Krew przestała się sączyć z rany. Po kwadransie oświadczył, że może już iść. Dojdziemy razem do brzegu, zawołamy przewoźników i dostaniemy się do okrętu. Oparłszy się na mnie, Stefan podniósł się, popatrzył przez chwilę na ogromną postać rozciągniętego niedźwiedzia, i ruszyliśmy z powrotem.

— A skóra niedźwiedzia? Czyż ją zostawimy — zapytał Stefan.

— Potym ją zabierzemy — rzekłem. — Teraz najważniejsza, żebyś ty czymprędzej dostał się na okręt i uspokoił się.

Stefan nie sprzeciwiał się. Czuł, że potrzebuje spokoju i pomocy lekarza. Powolutku posuwaliśmy się ku brzegowi, odległemu od nas nie więcej nad godzinę drogi.

W śnieżnym grobie.

Szliśmy tak już dziesięć minut, potykając się i zatrzymując co chwila. Podtrzymywałem Stefana z całych sił, żeby mu ułatwić stąpanie. Tymczasem pogoda, na którą dotąd nie zwracaliśmy uwagi, zmieniła się znacznie. Słońce ukryło się poza ciężkiemi, czarnemi chmurami. Wiał silny wiatr, powietrze stało się przejmująco mroźnym... Przypomniałem sobie groźbę Marcina i przyśpieszyłem kroku, żeby przed powstaniem śnieżnej zamieci dostać się jeszcze na okręt. Strach przejmował na myśl, że biednego rannego Stefka w drodze zaskoczyć może burza.

— Prędzej, prędzej! — nagliłem. — Zbierz wszystkie siły! — Musimy dostać się na okręt, zanim zerwie się zawieja i zakopie nas pod śniegiem.

Stefan narówni ze mną rozumiał niebezpieczeństwo i dobywał resztki sił. Czułem jednak, że coraz bardziej się ociąga. Po kilku minutach, ledwie mogąc oddychać, zatrzymał się.

— Nie, nie mogę iść dalej! — wyszeptał. — Zostaw mnie tutaj, a sam biegnij coprędzej nad brzeg. Czego mamy ginąć obaj? Może jeszcze uda ci się wysłać mi pomoc z okrętu.

— Za nic! — zawołałem. — Ja miałbym zostawić ciebie samego w tej śnieżnej pustyni? Odwagi, Stefku! wesprzyj się na mnie, jak możesz najmocniej i pójdziemy jakkolwiek.

Stefan posłuchał. Uszliśmy ze dwieście kroków. Brzeg był jeszcze daleko, a już zamigotały pierwsze płatki śniegu, a zdala dochodził świst i wycie wiatru, napełniające duszę przestrachem.

— Prędzej, Stefku! na miłość boską prędzej! Burza będzie straszniejsza, niż myślałem.

Stefan podwoił jeszcze wysiłek. Przeszliśmy znowu sto kroków; ale tutaj upadł na kolana, mówiąc, że stanowczo dalej iść nie może.

Co tu robić w takim położeniu? Niebo ciemniało coraz bardziej, płaty śniegu padały coraz gęściej, a wycie wiatru zbliżało się i wzmagało z każdą minutą... I nagle uderzyła na nas burza tak gwałtowna, tak mroźna, że ręce mi odrazu skostniały i oddech w piersiach zaparło.

Niepodobna było pozwolić, żeby Stefan pozostał w polu na takiej zawiei. A on tymczasem nie mógł ruszyć się z miejsca... Nie namyślając się więc, zarzuciłem go sobie na plecy, pomimo jego oporu — i zacząłem biec szybko, o ile pozwalały na to mróz i wicher. Myślałem, że za kwadrans doniosę go do brzegu, a tam znajdziemy łódkę i będziemy ocaleni.

Śnieg padał tak gęsty, że o krok przed sobą nic nie widziałem. Biegłem wciąż naprzód, nie wiedząc nawet, czy dążę do brzegu, czy kręcę się na miejscu. Wicher zawiewał to z jednej, to z drugiej strony. Śnieg dochodził już do kolan. Okropny mróz ścinał krew w żyłach. Jeśli nie dostaniemy się do brzegu, czeka nas w polu śmierć od zimna i śniegu. Ach! jakże żałowałem, żem nie słuchał przestróg Marcina!

Przeszło jeszcze ze dwadzieścia minut, a brzegu, do którego tak dążyłem, ani śladu. Biedny Stefan jęczał z bólu i zimna. Zagraj wył i szczekał naprzemiany. Szedłem wciąż naprzód, lecz kolana uginały się podemną, czułem ból w piersiach i zawrót w głowie...

Wtym czuję, że śnieg usuwa się pod memi stopami: krzyknąłem przeraźliwie i wpadłem wraz ze Stefanem w jakąś niezmierną głębinę... Nie rozumiałem, czy

wpadliśmy w morze, czy w przepaść pomiędzy skałami?... Gdy oprzytomniałem, znalazłem się w miękkim śniegu. Stefana trzymałem jeszcze na plecach, wierny Zagraj siedział przy mnie, liżąc mi ręce. Znaleźliśmy się więc w głębokim dole śnieżnym. Dokoła nas stały wysokie ściany śnieżne; z góry dochodziły jeszcze płaty padającego śniegu. Straszno tu było, ale przynajmniej zacisznie. Okryłem Stefana lepiej futrem, usiadłem obok, namyślając się, co robić dalej. Mieliśmy wprawdzie ze sobą trochę wina i żywności, możnaby więc burzę przeczekać. Ale jak wyjść z tego grobu śnieżnego? Wpadliśmy w szczelinę zasypaną śniegiem, głęboką na jakie czterdzieści łokci. Ani myśleć o wydostaniu się stąd samym. Należało więc wzywać pomocy, ale jak? Strzelby zgubiliśmy podczas upadku... Pozostało tylko krzyczeć. Skostniałemi rękoma próbowałem kopać na wszystkie strony, lecz sypki śnieg obsuwał się z góry i nie pozwalał posunąć się w głąb na trzy kroki...

Na szczęście burza zaczęła się uspakajać. Po godzinie ujrzeliśmy nad sobą czyste już niebo. Zaczęliśmy krzyczeć, licząc na to, że łódka czeka nas na brzegu i usłyszy nasze wołanie. Nie odzywał się nikt... A tymczasem zbliżała się noc. Usłyszeliśmy armatnie wystrzały.. To z okrętu strzelano, wzywając nas do powrotu. Wreszcie i wystrzały umilkły. Okropna myśl przyszła mi do głowy: może z okrętu wysłano nam majtków na pomoc, ci nie znaleźli nas i myśleli, żeśmy już zginęli. Okręt może odpłynął dalej, a nas pozostawił tutaj na śmierć od głodu, zimna i drapieżnych niedźwiedzi. Zimny pot wystąpił mi na czoło...

Tak przeszła noc — najstraszniejsza noc, jaką miałem kiedybądź dotąd w życiu.

Nad ranem wystrzały już się nie powtórzyły. A więc okręt odjechał, porzucił nas na wolę losu.

Rozpacz owładnęła nami. Siedzieliśmy obok siebie, patrząc ponuro na sklepienie niebios i białe ściany naszego śnieżnego grobu.

Nagle Zagraj, który dotąd siedział obok smutny, poskoczył żwawo, zaszczekał głośno i zaczął kopać w jednym miejscu ścianę śnieżną. Zerwałem się i ja na równe nogi, pomagając psu całemi siłami rąk i nóg usuwać sypki i miękki śnieg. Pies kopał z coraz większą zawziętością, śnieg zasypywał go całego! z największą trudnością udawało mi się odgrzebywać z nad niego śnieżne zaspy. Upłynęło pięć minut — i Zagraj zniknął mi z przed oczu. Rzuciłem się za nim i — któż zdoła opisać mą radość! — znalazłem się na swobodzie, na samym prawie wybrzeżu morza!.. Na falach kołysał się w oddali nasz okręt, a ku niemu płynęła łódź, na przodzie której ujrzałem wysoką postać starego Marcina.

— Hop! hop!! Ratunku!! — krzyknąłem rozpaczliwie, a Zagraj zawtórował mi swym wyciem.

Na mój krzyk łódź skręciła nagle ku brzegowi — i niezadługo znalazłem się w objęciach Marcina, który witał mnie z niekłamaną radością.

— Ależ to macie szczęście! ależ to szczęście! A toż za pół godziny byłoby po wszystkiem. Obeszliśmy całe wybrzeże; nie znalazłszy was nigdzie, już mieliśmy odpłynąć na morze. Czegóżeście nie odzywali się na nasze wystrzały?

— Jakto! krzyczeliśmy co sił, ale widać głos do was nie dochodził.

— No, chwała Bogu, że tak się skończyło, gdzież pan Stefan?

— On jeszcze w grobie, biedak. Chodźmy czymprędzej.

Przedostaliśmy się przez śnieżny korytarz i wy-

ciągnęliśmy uradowanego Stefana. Marcin zdziwił się widząc jego ranę. Wtedy opowiedzieliśmy staremu wszystko, co i jak było. Wierzyć nie chciał, dopókiśmy nie doprowadzili go do leżącego niedźwiedzia. Ale pomimo to w najlepszym usposobieniu zabraliśmy się wszyscy z powrotem na okręt, niosąc w tryumfie skórę niedźwiedzia, którą Marcin w jednej chwili ściągnął.

Niezadługo byliśmy już na okręcie, witani radośnie przez kapitana i całą załogę, tymbardziej, że wszyscy mieli nas już za straconych. Wiernego Zagraja majtkowie ściskali i pieścili, dowiedziawszy się, że to on nam życie ocalił. Doktór okrętowy opatrzył Stefanowi ranę, ułożyliśmy go do łóżka — i po danym wystrzale opuściliśmy niegościnne brzegi Szpicbergen, których z pewnością póki życia mego nie zapomnę.

Z ulubionym Zagrajem nie rozstawałem się odtąd przez kilka lat; miałem go ze sobą nawet na wojnie, w której później brałem udział. Tam dzielny ten pies zginął od kuli karabinowej w chwili, gdy rzucał się do pyska koniowi nacierającego na mnie wroga.

Polowanie na jaguara.

Od zdarzeń opowiedzianych minęło lat 15. W owe czasy mieszkałem o tysiąc mil od kraju rodzinnego, w Peru, w Ameryce południowej. Peru jest wogóle krainą bardzo górzystą. Okolica jednak, w której przebywałem, leżąca ku wschodnim granicom tego państwa, bliżej Brazylji, stanowiła już nizinę porosłą przedwiecznemi lasami, pośród których płynęły ogromne rzeki.

Od trzech tygodni już przebywałem na plantacjach [1]) pana Rodryga, hiszpana, człowieka nader miłego, w którego domu doznałem prawdziwie gościnnego i przyjaznego przyjęcia.

Było to wieczorem. Siedzieliśmy na ganku przed domem, rozmawiając o zbiorze kawy, który za dni parę miał się rozpocząć. Na niebo wypłynął księżyc, jak wielka złocista tarcza. W powietrzu unosił się przepyszny zapach. W krzakach migotały, jak duże gwiazdy, świecące żuki [2]). Zdala dochodził cichy szmer nocnego życia otaczających nas lasów, słychać było szum rzeki, której wody połyskiwały w blasku księżyca, jak wielka srebrzysta wstęga. Z rozkoszą napawaliśmy się wieczornym powietrzem, tak miłym po całodziennym skwarze.

Była już godzina 9-ta, gdy wtym nadbiegł jeden z niewolników, donosząc, że do zagrody z bydłem wpadł ogromny jaguar [3]) i zagryzł najpiękniejszego wołu... Porwaliśmy się wszyscy z miejsca. Nie pierwszy to

---

[1]) Plantacje—pola uprawne w krajach gorących, porosłe kukurydzą, ryżem, krzakami bawełny, kawy i tym podobnemi roślinami.

[2]) Jak u nas robaczki świętojańskie, tak w Ameryce południowej są świecące żuki, duże jak chrabąszcze. Nazywają się one świetlikami. Blask tych świetlików jest tak silny, że tamtejsi mieszkańcy sadzają po parę tych żuków żywcem do oszklonej latarki — i przy ich świetle pracują wieczorami.

[3]) Wiele jest zwierząt podobnych z całej postaci, z zębów, pazurów i drapieżnych obyczajów do naszego kota. U nas w Europie spotyka się po lasach dziki kot zwany żbikiem i inny — ostrowidzem czyli rysiem. W Azji, Afryce i Ameryce są ogromne koty, bardzo drapieżne, silne i straszne: lew, tygrys, lampart, pantera, puma, jaguar. Jaguar jest właśnie pospolitym w Ameryce południowej. Jestto kot długi na 5 stóp, z ogonem na łokieć, żółty, z czarnemi plamami na bokach. Jest on największym wrogiem ludzi i ich dobytku. Poluje przytym na rozmaite zwierzęta, nawet na ryby, które umie wyławiać z wody.

raz wprawdzie ten dziki drapieżnik lasów amerykańskich wyrządzał podobną szkodę, ale tymbardziej należało się od niego bronić. Puszczony bezkarnie, taki jaguar zasiadłby w sąsiedztwie plantacji i polowałby nieustannie na bydło, świnie — nawet na ludzi, gdyby udało mu się napaść kogo na uboczu. W sąsiedniej plantacji kilka dni temu zdarzył się nawet taki wypadek, że jaguar wpadł w nocy do chaty, wyciągnął z łóżka dziewięcioletniego chłopca i rozszarpał go na miejscu... Niema nic straszniejszego nad tego wielkiego kota: gdy znęci się do jakiej wioski, leżącej wśród lasów, uważa ją wtedy za swoją własność i poluje wśród dnia białego, porywając, co się zdarzy. Zwykle jest bardzo ostrożny. W głodzie jednak zapomina o wszelkim niebezpieczeństwie. Opowiadał mi jeden z tamtejszych ludzi, że gdy raz płynęli łódką we trzech po rzece, niedaleko brzegu, z krzaków wypadł do wody wielki jaguar — i płynął prosto ku łodzi. Na szczęście, jeden z płynących miał przy sobie strzelbę. Przypuściwszy tego kota na 30 kroków, wpakował mu kulę w sam środek łba i tym ocalił wszystkich od śmierci.

Nie dziw przeto, że zjawienie się takiego sąsiada wywołało ruch w całym towarzystwie.

— Jutro obława! — krzyknął pan Rodryg. — Zebrać ludzi i psy, o świcie wyruszamy. Pan — zwrócił się do mnie — zapewne zechcesz nam towarzyszyć?

— O, z największą przyjemnością!—odrzekłem. A serce zabiło mi silniej na myśl tego nowego polowania, jakiego jeszcze nie zdarzyło mi się probować w Ameryce.

Nazajutrz, ledwie świt zarumienił niebo, zebraliśmy się wszyscy na podwórzu. Było nas kilkunastu strzelców, uzbrojonych w dobre gwintówki i kordelasy.

Po krótkim śniadaniu siedliśmy na muły [1]) i wyruszyliśmy w drogę. Psy rwały się i ujadały radośnie. Myśliwi cieszyli się z pięknej pory.

Mój Słowik, przepyszny młody gończak, czarny z podpalaną mordą i łapami, skakał koło muła, ciesząc się narówni z innemi psami.

— Możeby pan lepiej zostawił Słowika — odezwał się pan Rodryg, widząc jego szalone skoki. — Taki młody pies, rzuci się, jak warjat, na jaguara i zginie.

— Nie! — odrzekłem — niech i on uczy się polować na te poczwary. Jeszcze mu się to nieraz przyda. Zresztą, myślę, że będzie ostrożny.

Jechaliśmy szybko za strzelcami Rodryga w stronę, gdzie, podług opowiadań niewolnika, skrył się wczoraj jaguar. Po upływie może pół godziny, jeden z psów szczeknął głośno i rzucił się w gęstwinę. Za nim podążyły inne; las napełnił się wściekłym ujadaniem. W ślad za psami rzucili się strzelcy. Dziwnym tylko mi się wydawało, że mój Słowik, zamiast biec za wszystkiemi psami, z miejsca prawie skręcił na prawo i z nosem utkwionym w ziemię widocznie coś tropił. Zawołałem na niego. Obejrzał się, ale znów biegł za tropem. Zdziwiło mnie to — i pomimo, że nie należało oddalać się od reszty strzelców, postanowiłem jechać za psem. W każdym razie — myślałem sobie — tamtego jaguara i tak odszukają i zabiją.

Tymczasem Słowik trafił z pewnością na ślad, jeśli nie drugiego jaguara, to jakiegoś innego drapieżnika. Poznałem to po jego głuchym, ucinanym szczekaniu,

---

[1]) Muł — zwierzę podobne do osła, zrodzone z osła i klaczy. Jestto roztropne a silne i wytrwałe zwierzę, używane do pociągu i pod wierzch we wszystkich krajach gorących, szczególniej górzystych.

po najeżeniu sierści i zapale, z jakim rwał się naprzód. Zatrzymałem się, huknąłem parę razy, wołając którego ze strzelców. Nie odezwał się nikt; gąszcz straszny tłumił widocznie moje wołanie. Zawahałem się na chwilę. Zapewne, iść samemu na jaguara trochę straszno. Ależ strzelbę miałem nabitą i wyborową, pistolety za pasem, a w ostateczności nóż długi, którym w razie niebezpieczeństwa można się było bronić. Zawstydziłem się własnej tchórzliwości; puściłem trenzle mułowi i ze strzelbą odwiedzioną w ręku jechałem krok w krok za psem.

Słowik biegł tak szybko, że ledwie mogłem za nim podążyć, chociaż las w tej okolicy był rzadszy i jechałem jakąś niby drożyną.

Tak przeszła godzina, a może więcej. Już zaczynałem się niecierpliwić. Myślałem, że może Słowik wpadł na stary trop; gdy nagle pies mój zatrzymał się, najeżył, wyszczerzył zęby i dziko zawarczał.

Za chwilę byłem już przy nim, zeskoczyłem z muła, przywiązałem go szybko do drzewa i ze strzelbą przy oku zacząłem szukać przedmiotu, który tak przeraził mego psa. O dwadzieścia kroków ode mnie, na grubej gałęzi drzewa siedział jaguar... Podniósł się zlekka, utkwił we mnie swe oczy dzikie, błyszczące i przygotowywał się do skoku... Strzeliłem i jaguar zwalił się na ziemię...

Jednocześnie rozległo się wściekłe warczenie i ujadanie Słowika, który w jednej chwili wpił się zębami w gardło jaguara. Na łbie jaguara czerwieniała krwawa plama od mojej kuli. Zwierz ryczał okropnie i tłukł łapami dokoła, ale upływ krwi, broczącej z rany, osłabił go, nie mógł więc dosięgnąć psa pazurami. Bojąc się jednak o Słowika, przyłożyłem pistolet do samego ucha jaguara i pociągnąłem za cyngiel. Zwierz drgnął raz jeszcze i padł na ziemię, przyduszając sobą Słowika.



Na grubej gałęzi drzewa siedział ogromny jaguar...

Z trudnością udało mi się odciągnąć psa, chociaż miał kilka ran i zadraśnięć na skórze.

Pogłaskawszy dzielnego psa, obmyłem mu ranę winem i zabrałem się do ściągania skóry z jaguara. Był to zwierz piękny, jeden z większych. Wyglądał jak wielki kot, długi przeszło dwa łokcie, z ogonem prawie na łokieć. Futro miał prześliczne — żółte, z czarnemi, dużemi plamami na grzbiecie i bokach. Ściąganie skóry zajęło mi dobrą godzinę czasu. Wtedy nabiłem strzelbę i pistolet, siadłem na muła, przewiesiwszy przez grzbiet jego moją świetną zdobycz, gwiznąłem na psa i ruszyłem wolnym truchem w stronę, gdzie — jak mi się zdawało — powinienem był spotkać towarzyszów.

Pośród kajmanów.

Jechałem już z półtorej godziny, kierując się wciąż na lewo. Zawczasu już cieszyłem się ze zdziwienia reszty strzelców, gdy pokażę im skórę jaguara. Co chwila nasłuchiwałem skwapliwie, czy nie usłyszę strzału, głosu trąbki, lub szczekania psów... Nie słychać było nic, prócz szmeru liści, krzyku ptaków i wycia małp w gęstwinie. Po drodze zastrzeliłem piękną papugę z długim ogonem, dużego kulona, przelatującego z nad błota, i gołębia, zwanego przez krajowców gachagualpe, którego mięso jest wyśmienite. Tak nastrzelawszy sobie zapasów żywności, wesoło jechałem naprzód; byłem pewien, że lada chwila ujrzę towarzyszów, a może i folwark Rodryga.

Tymczasem nadeszło południe... Zacząłem przypuszczać, że zabłądziłem chyba w lesie. Zapewne w pogoni za jaguarem oddaliłem się zanadto od myśliwych... Oni już dawno musieli powrócić do domu. Trzeba i mnie zawrócić ku plantacji. Że zaś do domu miałem — jak mi się zdawało — nie więcej nad trzy godziny drogi, a jeść mi się chciało porządnie, postanowiłem wypocząć.

Zatrzymałem się na małej polance, naznosiłem liści i chróstu i, roznieciwszy ogień, upiekłem ptaki. Obiad miałem wyborny; nawet Słowik, dostawszy resztki pieczystego, oblizywał się po nim z widocznym zadowoleniem. Zapaliwszy po obiedzie cygaro dla odpędzenia nieznośnych komarów, siadłem znowu na muła i ruszyłem żwawiej ku domowi.

Godzinę już jechałem szybkim kłusem. Nagle muł zatrzymał się przed maleńką, prześliczną łączką — i za nic nie chciał ruszyć naprzód. Biłem go, kłółem go ostrogami: na próżno.

Sparł się na zadnich nogach i tylko nozdrza rozdymał w niepokoju.

Wydawało mi się to podejrzanym. Słyszałem już o zdradzieckich błotach peruańskich, złożonych z przepaścistego, delikatnego mułu, pokrytego z wierzchu cienkim kożuchem roślin błotnych. Chcąc się przekonać, czy owa łączka nie jest czasem jednym z takich błotek, zsiadłem na ziemię i zacząłem ostrożnie probować nogą brzegu zagadkowej łączki. Istotnie, było to błoto. Poczciwy muł miał widać rację. Wskoczywszy szybko na siodło, ruszyłem w innym kierunku. Znowu to samo. Muł zatrzymał się i ani kroku... Skierowałem go na prawo — znów powtarza się to samo... Widocznie wpadłem pomiędzy rozsiane błotka, z których niełatwo się będzie wydostać! Wiedziałem, że w tych przeklętych

męczarnia. Napadły mnie roje moskitów [1]), gryząc i ssąc moją krew. Nakryłem głowę chustką: niewiele to jednak pomogło. Te nieznośne owady dostały mi się pod chustkę, kłując dokuczliwie i doprowadzając mnie prawie do szaleństwa. Nassawszy się tak dowoli, szczęśliwie jakoś odleciały.

Była może godzina szósta wieczorem. Słowik, który dotąd żałosnym piskiem wyrażał mi swój żal i współczucie, nagle umilkł, potym zawył głośno i zaczął uciekać z szybkością wiatru. Smutnie patrzyłem w ślad za nim! Z nim razem traciłem ostatniego przyjaciela w tym okropnym lesie. I czego on uciekł? Może za jakim jeleniem? — Uciekaj sobie! — myślałem. Wszyscy porzucają mnie w nieszczęściu... Tysiące psów na twoim miejscu byłyby to już dawno zrobiły. Więc już nigdy nie zobaczę nikogo, nie ujrzę jutro wschodzącego słońca... Zanim nastąpi ranek, znajdę śmierć w tej straszne błotnej mogile, i nikt nawet nie będzie wiedział, gdziem się podział. Umrzeć na polu bitwy—łatwo i miło, umrzeć na łożu, otoczonemu smutnemi twarzami najbliższych a drogich ludzi—nietrudno. Lecz ginąć z każdą chwilą w tym błocie, zdala od wszystkiego, co się ukochało, ginąć tak, że niczyje ucho nie posłyszy ostatniego przedśmiertelnego okrzyku — straszno! A uniknąć tej okrutnej śmierci ani sposób... Przyjaciele moi, niech was Bóg chroni od podobnej męczarni. Płakałem, krzyczałem, wyłem z rozpaczy — a za chwilę milkłem znowu, jak umarły.

Słońce już zaszło. Po krótkim zmierzchu nastała

[1]) Moskity — małe muchy, podobne do komarów, lecz bardzo boleśnie kłujące. Latając niezmiernemi chmarami, stanowią one straszne utrapienie mieszkańców Ameryki południowej. Podobnie dokuczliwe muchy, zwane „meszkami", żyją też w krajach południowych.

noc. Lecz wkrótce nad lasem wypłynął księżyc, rozlewając wokoło swe jasne, srebrzyste promienie. Wczoraj jeszcze zachwycałem się tym przepysznym wieczorem gorących krajów, a dziś oddałbym miliony takich wieczorów za jedną chłodną noc w mojej oddalonej, drogiej ojczyźnie.

Las zaczął się ożywiać. Ryk dzikich zwierząt mieszał się żałosnym wyciem chwytanej przez nie zdobyczy; a zewsząd dochodził tajemniczy pisk przebrzydłych kajmanów. W powietrzu słychać było nieustający szmer; nad głową moją co chwila przelatywały małe i wielkie nietoperze [1]). Nagle o dziesięć kroków od siebie słyszę przenikliwe gwizdnięcie; oglądam się i widzę płynącego, chciwego krwi kajmana. Wściekłość mnie ogarnęła: pochwyciłem za strzelbę i wystrzeliłem w samą paszczę poczwary. Ogromne cielsko drgnęło konwulsyjnie i pogrążyło się w błoto. Zaśmiałem się dziko, zadowolony z mej zemsty. A potym nabijałem strzelbę i strzelałem bez upamiętania do każdego zbliżającego się kajmana — i w ten sposób trzymałem je w pewnym od siebie oddaleniu. Ale życia zostawało mi już nie więcej nad trzy albo cztery godziny.

Strzelałem wciąż, licząc i na to, że moje wystrzały może ściągną kogo z towarzyszów. A nie wątpiłem, że mnie szukają po lesie. Lecz około godziny dziesiątej wyczerpał się mój rożek z prochem, pozostał mi ostatni nabój w pistolecie. Nabój ten miał smutne przeznaczenie: kulka jego miała rozstrzaskać łeb mego muła, gdy nadejdzie ostatnia jego godzina. Poczciwe zwierzę zasłużyło sobie na takie zaoszczędzenie mu okropnej męczarni uduszenia w cuchnącym błocie.

---

[1]) Między nietoperzami amerykańskiemi jeden, zwany wampirem, przegryza ranki na skórze bydła, koni lub śpiących ludzi i ssie trochę krwi.

Minęła dziesiąta. Muł prawie cały zagrzązł już w błocie, a ja uwiązłem po piersi. Tylko głowa i część szyi muła wystawały jeszcze na powierzchni. Postanowiłem poczekać jeszcze pół godziny — a potym go zastrzelić.

Wziąłem do ręki zegarek i liczyłem minuty. Dziwna rzecz! jak szybko, jak okropnie szybko one mijały! No, już czas! Serce poruszyło mi się gwałtownie w piersiach... Ręka mi drżała... Trzy razy przykładałem pistolet i trzy razy go opuszczałem. Lecz wreszcie trzeba było skończyć... Poraz czwarty podniosłem pistolet, już, miałem pociągnąć za cyngiel, gdy jakiś dźwięk oddalony zwrócił moją uwagę... Zacząłem wsłuchiwać się z takim natężeniem, jak nigdy w życiu! Zdawało mi się, że słyszę jakby dalekie szczeknięcie... drugie... trzecie... Coraz bliżej, bliżej... Tak, niema wątpliwości: to szczekanie Słowika, a takie dzikie, takie gwałtowne, a coraz to bliższe! Wtym, o Boże! słyszę strzał jeden, drugi! To towarzysze moi, to zbawcy!! Wystrzeliłem natychmiast w powietrze... W odpowiedzi rozległy się głośne okrzyki i strzały. A po kwadransie wysunęła się z pośród drzew gromadka strzelców, dążąc szybko za skaczącym naprzód Słowikiem.

Któż opisać może moje wzruszenie? Za chwilę powalono w błoto wielką kłodę drzewa, po której wyciągnęli na brzeg mnie i mego muła... Przyjaciele moi! była to chwila tak szczęśliwa, że nie zapomnę jej nigdy, choćbym żył sto lat na świecie. Śmiać się ze mnie będziecie: ale pierwszą istotą, ku której rzuciłem się, którą ściskałem i całowałem ze łzami, był mój wierny Słowik. On to, widząc mnie w niebezpieczeństwie, pobiegł na plantację i póty wył, póty ciągnął za ubranie moich towarzyszów, dopóki nie zrozumieli, że wzywa ich na mój ratunek, i nie pojechali z nim do lasu. Po-

raz drugi pies ocalił mi życie: raz w śniegach dalekiej północy, drugi raz w przeklętych błotach gorącego lasu Ameryki.

Tak byłem osłabiony, tak zmęczony przejściami tego strasznego wieczora, że z powrotem ku domowi ledwie mogłem utrzymać się na siodle. Nazajutrz dopiero po długim wypoczynku zaczęły się opowiadania przygód dnia poprzedniego, których wszyscy słuchali z najwyższym zajęciem i współczuciem. Najwięcej wszakże podziwu wzbudził, najwięcej pieszczot wywołał rozumny, szlachetny postępek mego poczciwego Słowika.

Polska Biblioteka 468

BIBLIOTEKA
Polskiego Związku Łowieckiego
Nr 2027